XXII. Kraków, 15 października 1919 r. Nr. 20

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: z przesyłką pocztową 11 kor. 40 hal.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 83 (dom własny). Telefon Nr. 479
W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem:

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSBABA, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. — Łódź, Piotrkowska 62.

Redaktor: Konstanty Krumłowski.



MENAŻERYA DOMOWA.

— Tak! Tak! Ze mnie pani robi dromedara jucznego, a z męża jelenia rogatego!..

Z pamiętników zakochanego pazia.

Siedzę samotny nieszczęśliwe chłopię,
Najnieszczęśliwszy chyba z wszystkich pazi,
We łzach pokuty dawne grzechy topię,
Szpik pacierzowy mrowie mi przełazi.

Niewinny romans z naszą księżną panią
Zbudził zazdrości szał w prokuratorze —
Czyżby on także zagiął parol na nią?
Przebóg! On wszystko przecież obciąć może!

Urządziłby mnie ten srogi mąż szpetnie,
On mnie w najczulsze miejsce jeszcze zrani.
Gdy się uweźmie — obetnie, obetnie,
Będę stracony dla mej księżnej pani! .

W ciemnym karcerze siedzę ja paź blady
I z lic różanych płyną moje łezki,
Chętnie się z każdym potykam na szpady,
Strasznym mi tylko ołówek niebieski!

Więc jeśli zrobi ze mnie inwalidę
Na mą urodę i młodość nieczuły,
Prosto z więzienia przed tron księżnej idę
I do prywatnej zapukam szkatuły!

Szczęśliwa matka.

— I jakże się powodzi córce pani Maciejowej?

— Dziękuję wielmożnej pani!... Bardzo dobrze... Jest guwernantką...

— O!... To ciężki zawód!... Do dzieci trzeba mieć dużo zdrowia i cierpliwości!

— Ależ ona jest guwernantką u jednego bezdzietnego wdowca...

— W takim razie to zupełnie co innego!... Wierzę, że kochana pani Maciejowa musi się z tego cieszyć!...

Osioł w ministerstwie.

Pan minister zajęty był właśnie opracowywaniem mowy, jaką miał nazajutrz wygłosić w Sejmie, gdy wtem usłyszał w sieni jakieś gwałty i krzyki.

Aby się dowiedzieć o powodzie hałasu, zadzwonił na woźnego.

— A co się tam dzieje? — zapytał wchodzącego.

— Do sieni, proszę pana ministra — odparł zagadnięty — wpadł osioł i prosto na schody...

— Co za osioł?

— Ot, taki sobie zwyczajny osioł na czterech nogach, z ogonem!... Prowadzili go ulicą, a on się spłoszył, bo właśnie tramwaj nadjechał.

— Hm! — mruknął pan minister do siebie — To w każdym razie pierwszy osioł, który się tutaj dostał bez protekcyi...

Jeszcze więcej.

(Rozmowa dwu sąsiadek.)

— A cóż tam, moja Wojciechowa, z waszym synem?

— Ano nic!... Służy przy wojsku!

— I jakże mu się wiedzie?

— Nie najgorzej!

— A czemże tam jest?... Został już frajtrem?

— Jeszcze więcej!

— To pewnie kapralem...

— Jeszcze więcej!

— Wachmistrzem?...

— Jeszcze więcej!...

— Byłby już oficerem?

— Nie!

— Czemże jest w takim razie?

— On, moja kumo, pucuje samego pana kapitana!...

U pośrednika małżeństw.

— Hm!... Pisze mi tu jeden z mych kolegów, że jutro się zgłosi osobiście w mem biurze, aby mi podziękować za wyszukanie żony... Może lepiej byłoby udać, że wyjechałem i nie pokazywać mu się na oczy...

Zagadki złośliwe.

I.

Pierwsze i *drugie* — szpieg inaczej
Drugie i *trzecie* — pysk świński znaczy,
Całość — w policyi ma swe siedlisko:
Ruskie nasienie, ruskie nazwisko,
Żyje jak może — goli i strzyże,
A awantury robi w „Empirze".

II.

Pierwsze litera — *drugie* wśród kart
Całość zaś — muzyk uznania wart.
Pije, a jedna z silnych to głów.
Masz racyę Stasiu! pij dalej zdrów

III.

Pierwsza, przez włoskie przepływa niwy,
Drugie mówimy, gdy człek leniwy,
Trzecie po śniegu mknie strzały lotem,
Wszystko, jak cały Kraków wie o tem,
Świetnym aktorem był przez czas długi,
Ale cóż? kiedy jest trochę — *drugi*.

Nieporozumienie.

Do szpitala przywieziono chorego, cierpiącego na skręt kiszek. Stan jego był bardzo poważny, posłano też po ordynującego lekarza, gdyż operacya natychmiastowa była wskazaną.

A był nim pan doktor Salzstangel, z „mniejszości narodowej".

Gdy pan doktor nadszedł, zakonnica, która czuwała przy łożu chorego, chcąc zwrócić uwagę na poważny stan, rzecze:

— Już dostał oleje...

— A skutek był?... — zapytał pan doktor, mając w głowie naturalnie tylko olej rycynowy.

Na ulicy.

— Wiesz ten ksiądz, który mi się tak uprzejmie kłaniał, to jest mój bliski krewny...

— Acha, a czy płaci twojej mamie alimenta?

Smutna historya o wesołym budziku.

Pan Telesfor Sempiterna Kopcidymski, właściciel Koziego ogona z przyległościami, miał jedynego syna, który na chrzcie św. otrzymał imię Jana w Oleju, choć przypuszczano początkowo, że ma wodę w głowie.

Matka Jasia, a rodzona żona pana Telesfora, opuściła ten padół płaczu i podatków z dodatkami, dając życie synaczkowi, kochający małżonek przysiągł zaś na jej grobie, że ślubowanej jej wiary małżeńskiej nie złamie i do śmierci a może nawet i dłużej zostanie wdowcem, oddanym wychowaniu jedynaka.

Nic mu to jednak nie przeszkadzało w utrzymywaniu dobrych stosunków z ludem, zwłaszcza zaś z żeńską jego połową i nic też w tem dziwnego, że między dworem a gminą wyrobiło się zgodne współżycie w myśl słów poety:

„Jeden tylko, jeden cud
z szlachtą polską — polski lud!"

Pan Telesfor wianował wychodzące za mąż dziewki wiejskie, nie odmawiał zaproszeniom na ojca chrzestnego, jednem słowem był to typ prawdziwego ludowca, ale w najidealniejszem znaczeniu. Kochał lud i dawał tego dowody w dzień i w nocy, ale bynajmniej nie dlatego, aby potem przy jego pomocy zdobyć mandat do Sejmu lub Rady powiatowej.

Pan Telesfor Sempiterna Kopcidymski o tego rodzaju zaszczyty się nie ubiegał, a cały wolny od zajęć gospodarskich czas poświęcał wychowaniu swego kochanego Jasia, który miał się stać kiedyś chlubą starożytnego rodu, wywodzącego swój początek od jednego z bezpotomnie zgasłych rzymskich senatorów z czasów cesarza Augusta.

I rósł Jaś na chwałę Bożą, na pociechę taty i na pożytek społeczeństwa kształcąc ciało i ducha, najpierw pod kierownictwem miejscowego nauczyciela, a potem, gdy już doszedł lat dziesięciu, wszczepiał weń tajniki wiedzy ściślej sprowadzony z miasta rutyrowany pedagog pan Totumfacki.

Oddając mu syna pod opiekę, rzekł pan Telesfor:

— Mógłby się wprawdzie obejść bez tego, bo to, panie dzieju, tylko pieniądz ma dziś znaczenie, a odziedziczy kiedyś po mnie niezgorszy majątek, chciałbym jednak aby przelazł przez gimnazyum, a potem zapisał się na agronomię! Niechaj się jednak zbyt nie męczy, bo to zdrowiu szkodzi!... Nieboszczka moja żona, a jego matka, świeć Panie nad jej duszą kolorowemi latarniami — w tem miejscu aby dać wyraz wzruszeniu, utarł nos po szlachecku kułakiem — to było, powiadam panu, kurczątko! Osierociła nas też bardzo rychło!... Boję się, aby Jaś nie poszedł w jej ślady...

Choć obawy te były nie na miejscu, gdyż Jaś dzięki świeżemu powietrzu, ruchowi i dobremu odżywianiu wyglądał niczem rozkwitła piwonia zastosował się pan Totumfacki do życzenia rodzica i bynajmniej nie męczył zbyt swego pupila.

Co roku wyjeżdżano dwa razy do najbliższego miasta, aby postępy naukowe Jasia poddać ogniowej próbie, a wypadała ona stale pomyślnie, dzięki tacie, który umiał sobie z profesorami pogadać.

Kiwali wprawdzie głowami, bo i czemże mieli kiwać, wreszcie któryś tem machnął ręką i rzekł: „Jeden osioł mniej, albo więcej, to nie robi różnicy!..." i wszyscy pisali zgodnie noty dostateczne.

Jaś miał jednak szczęście!... Widocznie urodził się pod szczęśliwą gwiazdą!... Jak gdyby dla niego wybuchła wojna i wynaleziono wojenną maturę, którą wprawdzie tylko większością głosów, ale w każdym razie zdał i otrzymał urzędowy dokument, stwierdzający czarne na białem, iż jest już dojrzałym umysłowo, co do fizycznej bowiem dojrzałości, to dawał jej już od kilku lat dowody, uganiając za wiejskiemi dziewkami, które wolały syna niż ojca, o ile naturalnie chodziło o przyjemność, a nie korzyść.

Do wojska Józia nie wzięto, gdyż lekarz wynalazł w nim jakąś straszliwą wadę serca, nic więc nie stało już na przeszkodzie, aby zaciągnął się w poczet wychowanków *Almae matris*, jako zwyczajny słuchacz wydziału rolniczego, czyli, mówiąc popularniej, kandydat na „wozignojka".

Gdy nadszedł czas odjazdu, pożegnał pan Telesfor czule jedynaka i wyprawił w drogę do Krakowa, zaopatrzywszy w błogosławieństwo ojcowskie, różne wskazówki i rady życiowe i rzecz prosta, odpowiednią ilość gotówki, aby mu w mieście na niczem nie zbywało, boć to na wsi przyzwyczajony był do różnych wygód, a w mieście słono za to wszystko trzeba płacić.

Sam pan Telesfor nie pojechał ze synem, gdyż nie pozwalały mu zajęcia gospodarskie, ale obiecał, że jak tylko czas pozwoli, odwiedzi go w Krakowie, gdzie ma też kilka interesów do załatwienia.

* * *

W Krakowie zaczął Jaś prowadzić bardzo systematyczny żywot, wdrożony do tego już od pierwszej młodości przez pana Totumfackiego.

Poznawszy miasto i jego osobliwości w ciągu dwu tygodni, oddał się całą duszą studyom. Przed południem słuchał teoretycznych wykładów na wydziale agronomicznym, popołudnie obracał na praktyczne ćwiczenia w karambola, wieczorami bywał w teatrze lub też w kawiarni, gdzie przy zielonym stoliku był mile widzianym gościem, bo... miał pecha, a dość monety, tacy zaś partnerzy są zwykle bardzo pożądani. To niepowodzenie przy grze w karty bynajmniej go nie dziwiło. Tłumaczył je sobie szczęściem, jakie miał w miłości.

Powiada stare przysłowie, że jabłko pada niedaleko od jabłoni. Tak też było i w tym wypadku.

Rodzic jego, pan Telesfor, kochał lud i chętnie z nim obcował, Jaś, idąc w ślady ojca rychło porobił w Krakowie znajomości między panienkami z magazynów mód, sklepów, drukarni i t. d., a one darzyły go takimi względami, że poprostu nie mógł się im opędzić i kto wie, na czem byłoby się skończyło, gdyby w sam czas nie przypomniał sobie często przez

Zdrada.

Znam jedno miejsce w lasku
Ukryte na uboczu,
Od słonecznego blasku
I chytrych ludzkich oczu!

Tam tylko czasem ptaszę
Nad głową nam zaśpiewa,
Tam luba! szczęście nasze
Widziały tylko drzewa!

Polanka ta pamiętna,
Ten las i łąk kobierce,
Tam żywiej drżały tętna
I silniej biło serce!

Lecz jedno mnie mój Boże!
Ach! jedna myśl przestrasza,
Że może już zdradzona
Serc tajemnica nasza!

Świat odkrył naszą sprawkę
W swem oburzeniu świętem,
Bo w miejscu schadzek trawkę
Wygnietliśmy ze szczętem!

W handlu zwierząt.

— Chciałbym psa dla matki mojej żony.

Właściciel handlu: W takim razie mogę panu polecić tego buldoga, dopiero zeszłego tygodnia pokąsał okropnie moją teściową.

Posłuszna Kasia.

— Niedziela jest dniem Pana! — mówił ksiądz proboszcz na kazaniu.

Zapamiętała sobie to Kasia i odtąd całe niedziele spędzała zawsze w domu, gdzie służyła za pokojówkę u pewnego starego kawalera.

Pasek.

Za młodu wodzą człowieka na pasku, potem jako student nosi paski na kołnierzu i czyta „Pamiętniki" Paska, potem zdobywa paski jednoroczne na rękawach, niewymowne podtrzymuje paskiem, nosi pasek rupturowy lub św. Franciszka, różne części garderoby w paski, więc też i nic dziwnego, że się na stare lata tak roz-*pasku*-dzi, że się zabiera do paska aprowizacyjnego, który go wiedzie do ula.

Ukoronowanie takiego paskarskiego żywota powiesić się na pasku, mówiąc życiu „pas!..."

I tak bywa...

Nieraz w zimie, gdy zanadto
Przygrzewa słoneczko
Kapie sobie woda z dachów,
Z rynien płynie rzeczką.

Czasem jednak ten proceder
Bywa całkiem inny,
Nieraz bowiem bez odwilży
Kapie także z rynny!...

Na balu prowincyonalnym.

— Czy mogę panią prosić do pierwszego kadryla? — pyta pan Stefan, zbliżając się z ukłonem do panny Frani.

— Bardzo żałuję, ale jestem już zaangażowana! — odpowiedziała panienka.

— To może bodaj do ostatniego?

— Trudno!... O tym czasie będę już w łóżku!

— To doskonale! — pan Stefan na to — W takim razie czy mogę panią prosić o *vis a-vis*.

Przy poste restante.

Podlotek: Czy jest list pod „Zawsze Twój"?

Urzędnik: Nie, proszę, ale jeśli panienka troszkę zaczeka, to zaraz napiszę.

U wróżki.

Do starej wróżki po wyrocznię,
Przyszła dziewczyna z wsi dalekiej
Aby przekonać się naocznie,
Czy są dla serca jakie leki.

Starucha siedzi na przypiecku,
Czarnego jak noc klepie kota,
Kot mruczy pacierz po niemiecku
I sowa huka gdzieś z za płota.

— Mów śmiało, czego chcesz odemnię?
Zawoła stara worożycha.
— Kocham!... Lecz nie wiem czy wzajemnię
Dziewczyna jej odrzecze z cicha.

Stara się radzi kart kabały
Zgarbione plecy wsparłszy o piec:
— Jednego chłopca z talii całej
Wybierz, niech będzie to twój chłopiec!

— Ach matko, trudność w tem niemała —
Rzecze dziewczyna w myśli szczerej
— Aby kabała nie skłamała,
To niechże będą wszyscy czterej!

W teatrze prowincyonalnym.

Dyrektor (do artystów): W tym tygodniu, moi panowie, damy tylko raz *Otella*... Teraz szewc taki drogi!

Zacna wdowa.

Pan Wtykalski ożenił się niedawno z bogatą wdową.

Na drugi dzień po ślubie opowiada swoim przyjaciołom:

— Idealna kobieta!... Zdumiewająca niewinność! Wyobraźcie sobie, że ona już zapomniała zupełnie...

---

ojca powtarzanej maksymy: „Szanuj zdrowie należycie, bo, jak umrzesz, stracisz życie!"

A on umierać bynajmniej nie myślał w tak młodym wieku, nie chcąc robić kłopotu staremu, który nie byłby wiedział, komu zapisać majątek. Bo trzeba wiedzieć, że Jaś był ostatnim potomkiem szlachetnego rodu Sempiterna-Kopcidymskich.

Zerwał też z dotychczasowem gorączkowem życiem, ale nie zupełnie, gdyż nie mógł tego przenieść po sobie, by się rozłączyć z panną Franią, która mu najbardziej wpadła w oko.

Zaproponował jej wspólne mieszkanie, na co ona się naturalnie zgodziła, gdyż dotychczasowe, gdzieś na Zwierzyńcu, nie bardzo jej konweniowało.

Odtąd pędzili we dwoje żywot „sielski, anielski". Ona szła rano do magazynu, on na wykłady, popołudniu czekał na nią w kawiarni, skąd udawali się na przechadzkę za miasto, gdyż Jaś tęsknił stale za wsią, potem wracali do domu, rozmawiali, wieczorem kładli się spać, aby nazajutrz rozpocząć znowu *da capo al fine*.

Jak długo byłaby trwała ta sielanka, niewiadomo, niestety, pewnego poranku przerwało ją niespodziewane przybycie... papy Telesfora.

Jaś przewracał się właśnie w łóżku z boku na bok i zastanawiał nad tem, czy wstać, czy nie, Frania w najzupełniejszym negliżu kręciła się po pokoju, gdy wtem zapukał ktoś silnie do drzwi...

— Kto tam? — zapytał Jaś z pod kołdry, tknięty jakiemś niedobrem przeczuciem.

— Ja!... twój ojciec! — odezwał się z poza drzwi głos znajomy, który, rzecz prosta, wywołał ogólną konsternacyę. Jaś pospieszył ku drzwiom, Frania schowała się za szafę i tu pospiesznie zabrała się do uzupełnienia toalety...

W tej chwili wtoczył się, sapiąc ciężko i dysząc, pan Telesfor i ucałowawszy jedynaka, siadł na najbliższym stołku, by odpocząć.

— Dyabli nadali te wasze miejskie mieszkania na drugiem piętrze! — mówił, ocierając pot kroplisty. — Żadyszy się człowiek, nim się wyspina... Poprostu kolka mnie sparła!

I rozglądnął się po pokoju, poczem dodał:

— Wcale ładny pokoik i eleganckie umeblowanie!... A to kto? — zapytał, dojrzawszy w kącie za szafą Franię.

— To... jakby to powiedzieć... — jąkał Jaś — to jest, proszę taty... mój budzik!

— Nie rozumiem!

— Tato wie, że ja nigdy rano na czas obudzić się nie mogę, więc bojąc się, bym się nie spóźnił na wykłady, prosiłem pannę Franię, aby tu nocowała i budziła mię rano!

— Aha!... To bardzo ładnie, że tak pamiętasz o swych obowiązkach!... Ale poco się tak natężać?... To szkodzi zdrowiu!... Raz i drugi można się spóźnić!

— O nie!... Tego profesorowie nie lubią... Ot i teraz muszę się spieszyć, bo już ósma za pasem...

— Cieszę się, żeś taki obowiązkowy!... Będzie z ciebie dobry gospodarz!

I łypnął stary jeszcze raz okiem w stronę Frani, poczem rzekł:

— Niech się panienka nie wstydzi i nie boi!... Ja nie jestem ludożercą!

— Całuję rączki panu dobrodziejowi! — rzekła na to Frania, wychodząc z swej kryjówki.

Jaś ubierał się pospiesznie, rozmawiając z ojcem, Frania gotowała się do odejścia.

— A jakież zajęcie panienki? — spytał stary.

— Ja, proszę pana dobrodzieja, pracuję w magazynie — odpowiedziała, spuszczając skromnie oczy.

— Bardzo ładnie!... A w którym, jeśli można wiedzieć?

— U pani Praussowej, w Rynku...

— Aha!...

I pożegnała obu dygiem bardzo wdzięcznym, a gdy się za nią drzwi zamknęły, wyrwało się panu Telesforowi:

— Niczego dziewczyna!

— Tak! — dodał Jaś — A jaka skromna i pracowita!... Jak ona dba o moją bieliznę!...

Ostatecznie i ojciec z synem opuścili mieszkanie. Syn podążył na wykłady, ojciec za interesami, w południe mieli się spotkać w Hotelu Saskim, dokąd stary zajechał.

— — — — — — — — — — — — — —

Po pierwszej podążył Jaś do hotelu i zapytał o pana Telesfora Sempiterna Kopcidymskiego z Koziego ogona.

— Jaśnie pan przed godziną wyjechał! — odparł portyer.

— Wyjechał?... — powtórzył Jaś, uszom swym nie wierząc.

— Tak jest! Jaśnie pan zostawił tu dla pana dobrodzieja list, bo pan jest zapewne synkiem pana Kopcidymskiego?

— Tak!... Oto moja legitymacya!...

— Bardzo proszę!... — i wręczył Jasiowi list, zapieczętowany ojcowskim sygnetem, zdobnym w herb Sempiterna Kopcidymskich.

Jaś rozerwał pospiesznie kopertę i czytał:

„Drogi Synu!

Nagły interes powołuje mnie z powrotem do domu. Bardzo żałuję, że się z Tobą nawet nie mogę pożegnać. Załączam tysiąc koron na otarcie łez i sprawienie sobie nowego budzika, gdyż ten, który widziałem dziś rano u Ciebie, przypadł mi bardzo do gustu więc zabrałem go ze sobą do Koziego ogona. Takiego dawno już szukałem. Przy gospodarstwie trzeba wczas wstawać, a Ty sam wiesz o tem najlepiej, jak mnie trudno dobudzić. Miałem już różne budziki, wszystkie do niczego! Może bodaj ten się nada. Zresztą i moja bielizna w nieporządku, a niema nikogo, kto chciałby się tem zająć. Szelmie Kaśce ani to w głowie! Napisz, kiedy przyjedziesz na święta.

Ściskam Cię

Twój ojciec, Telesfor".

Przeczytawszy ojcowską epistolę, schował Jaś banknot tysiąckoronowy do portfelu, a odchodząc mruknął:

— A to mię stary wykiwał!... Trzeba się będzie rozglądnąć za nowym budzikiem!... Ale staremu się zdaje, że to tak łatwo znaleźć odpowiedni!...



— A czy w tej miejscowości, skąd Jan pochodzi, urodził się już jaki wielki człowiek?

— Nie, proszę jaśnie pani!... Dotąd rodziły się zawsze małe dzieci!



— Więc ostatecznie, proszę pani, „tak“ czy „nie“...

— O tem, aby było „nie“, niema mowy, ale to muszę przyznać, że pan jesteś zbyt natarczywy!



— W tym stroju podobasz mi się bardziej, niż w spacerowej toalecie!

— Bardzo wierzę!... Gdybym była całkiem bez stroju, to gotów byłbyś się i zakochać we mnie!...



— Nie!... Kartom wierzyć nie można!... Dwa lata temu wypadła mi wróżba „kocha“, a potem to się szelma w sądzie wyparł, aby tylko nie płacić alimentów!...



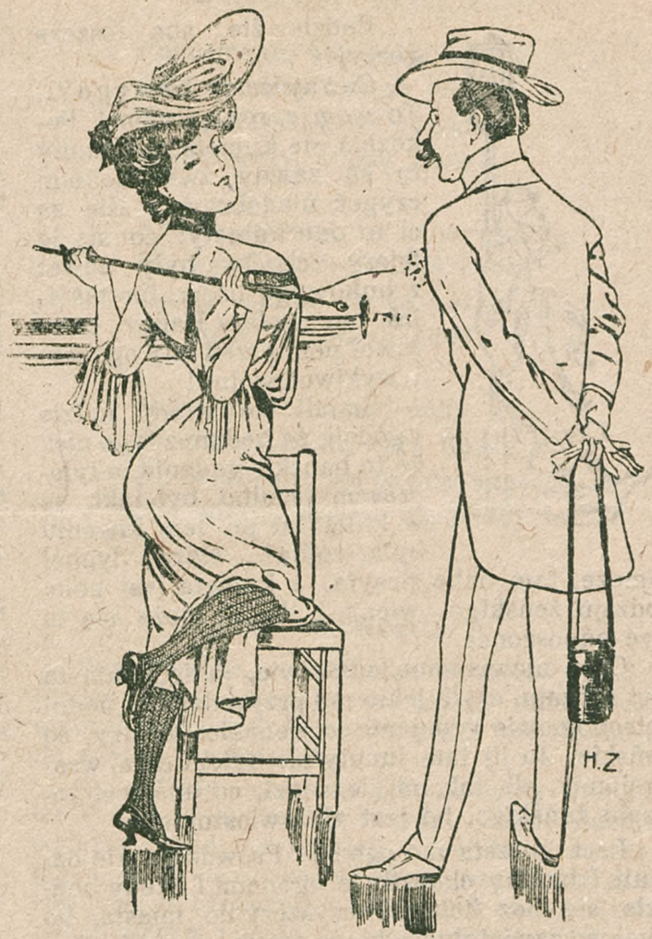
— Wyobraź sobie, Karol oświadczył się Zośce. Bawili razem w Krynicy na kuracyi wodnej!...

— No, no!... A tu powiadają, że zimna woda działa na człowieka trzeźwiąco!



— Pan jest w błędzie! Ja jestem uczciwą kobietą!

— Niech pani głowy nie zawraca!... Gdzieby uczciwa kobieta uchowała się z tak ładnemi nóżkami!



— Takich propozycyi, mój panie, nie stawia się uczciwej kobiecie, chyba z ręką...

— Na sercu?

— Nie!... w kieszeni!..





— Na kogóż panienki czekają?

— Na jednego pana!...

— A któż to taki?

— Albož ja to mogę wiedzieć?

— Albo ja?...

Ferdek Eleuteryk.



Bedzie źle, abo jeszcze gorzyj!

Ciekawiście, loczygo?... To wom zaroz powiem! Pokozała sie kumeta, a kumety to są zawdy zwiastunkami czygoś niedobrygo... Nie są ci to one kumety, co się je fajczy, choćby były nawet z bukowygo liścia, ino takie, jak ten cholera Halley, co to kiwoł nom przed laty ogonem i wykiwoł wojne!

Śmiali sie wtedy ludzie i godali, że bedom z tygo nici, że to babskie godanie, a tymczasem rezultat był taki, że w kilka lat po tem kiwaniu była wojna!... Gdzie dyabeł nimoże, tam babe posyła, a kumeta jest pono rodzaju żeńskigo, wienc i do nij może się to być odnoszonce.

Choć niewiadomo właściwie, jakigo kumeta jest rodzaju, czyli, jakie mo przyrodzynie. Jedni astronomowie godajom, co menskie, drudzy, co żeńskie. Jo jij tam lunety nie byłem nikaj wsadzajoncy, ale tak mi sie widzi, co ona jest rodzaju żeńskigo, bo jest złe zwiastujonca.

Lecz kumeta mo ogon!... Prowda!... Ale dawnij i brzany chodziły z ogonami i wtedy obeszło się bez Zakładu czyszczynio miasta, bo nimi wyzamiatały całkiem gratis planty i ulice. Dopiro teroz jest tako moda, że dekolte noszom i od góry i od dołu. Godajom, że to bez oszczyndność.

Ta kumeta, która nom pokozała (co?... przyp. zecera), to jest jakoś wojenno kumeta, bo i ona nimo ogona.

Ogłaszały astronomy, co sie jij powinno szukać w konsolacyi (może: konstelacyi?... przyp. zecera) Lwa, w północno-wschodniej stronie, nad ranem, ale sie jij nie zoboczy, choćby sie miało i najlepsze kapowidła. Trza do tygo mieć lornete...

Jo tam lornety nie jestem majoncy, ale z przeproszyniem na widermachu portugalskim, ale i bez takom nic nie dojźry, jako, że człowiek z tamtyj strony nie jest w kapowidła zaopatrzony.

I to tyż dobre, że możno jom oglądać dopiro nad ranem. Kużdy facet, który sie teroz bedzie do domu spóźniajoncy, gdy mu baba zacznie dziurę w brzuchu wiercić, skąd tak późno, a właściwie tak wczas jest wracajoncy, bedzie mioł klawe wyłganie, że był kik na kumetę robioncy.

Baba powi: „Nie fladruj!", ale musi dać spokój, bo w gazycie stało czorne na białem, że możno jom całkiem gratis przed wschodem słońca być oglondajoncym.

Co ona jednak zwiastuje?... To sęk, a w tym sęku z przeproszyniem dziura i to całkiem dziurawo!... Nowyj wojny cheba nie bedzie, bo sie staro jeszcze nie skończyła, nimoże tyż już być gorzyj, jak jest. Ani co wrazić w jadaczke, ani czym sie okryć, ani gdzie miszkać.

W jadaczke w ostateczności możno być palec wsadzajoncy, ale to nikogo nie nasyci. Pon minister od aprowizacyji był nam wprawdzie obiecujoncy, że wszyćko bedzie klawo, ale tymczasem poszed na emeryture, a następcy jeszcze nima, wienc nimógł obiecować.

Hamerykany miały nom być jakoweś okryjbidy przysyłajonce, ale nowygo transportu nie widać, ze starygo zaś dostołem świmhozy watowane na zime i krawatke. Brzany, jak sie już rzekło, dekoltujom sie coroz bardzij i od dołu i od góry i, kto wi, czy nie dojdą, jak naszo prababka Ewa, do listka figowygo. Ale chłopu to byłoby sie trudnij tem zadowolnić, jako iż tako przyodziwa byłaby lo nigo bardzo niewygodno.

Zresztom publiczne, z przeproszyniem, zgorszynie!... W muzyum była na obrazie wydekoltowano brzana, a jeden ksiondz był jij ten dekolt smołą smarujoncy, cóż dopiro działoby sie teroz na ulicy?... Kużdy taki moralista musiołby nosić ze sobom wiaderko smoły i pendzel. Nadeńdzie tako wydekoltowano brzana, on pondzel do graby i dalij do roboty!

Z miszkaniami tyż bida i to tym gorszo, że nadchodzi zima i na plantach nimożno być nocujoncym, choć i w lecie nie było to bardzo wygodne, bo sie miało zadużo towarzyszów i towarzyszek i trza sie było spieszyć, aby znaliźć siedzonce mijsce, bo stojonce, to nie bardzo wygodne.

Obiecujom wprawdzie, że sie bendzie stawiać w Krakowie drewniane chałupy, ale to ino obiecanka, a do jij spełninio daleko... Pokoże sie, że brakło drzewa. Jeszcze najprendzyj to se człek bedzie móg sprawić drewnianom chałupine, ale zbitom ino z pińciu deszczek i pojedzie w nij na Rakowice.

Jeżeli więc ta nowo kumeta mo zwiastować, że bendzie jeszcze gorzyj, to... padom do nóg! Nie ostaje nic innygo, tylko sie powiesić, jeżeli kto mo przedwojenny sznurek. Papirowy nawet wojennygo głodomora nie utrzymo!... Topić sie nie warto, bo woda już za zimna i możno sie nabawić kataru, a otruć, to się dziś już cheba nikt nie potrafi. Bez czas wojny nauczyliśmy sie frygać takie specyjoły, że teroz możno sie chycić kwasu pruskigo, abo arszeniku i z pewnością nikomu nie zaszkodzi.

Ale, godają tyż ludzie, że bez wojne to sie świat był do góry nogami wywracajoncy, że winc teroz kumeta nie wróży nic złygo, ino właśnie dobrze. Jeżeli tak, to niech se bedzie z ogonem, abo bez ogona i niech se świci jak najdłużyj, skoro jij tam dobrze, a nos to nic nie kosztuje. Może skróś tygo bedzie cieplij w zimie i bez wągli, co daj Panie Boże, Amen.

Z tajemnic lasu.

Zapytało mnie raz w lesie,
(Bo prócz mnie nie miała kogo)
Młode dziewczę, czy wiem, gdzie się
Wyjdzie z lasu prostą drogą?

Pokazałem oczywiście,
Gdzie największa jest gęstwina
I najgrubsze drzew są liście —
Poszła ze mną tam dziewczyna!

Tu — zajdziemy gdzieś na pewno,
Tu mchy polne i kwiatuszki,
Jak dywany przed królewną,
Chylą się pod twoje nóżki!

A wikliny, co wzdłuż drogi
Ustawicznie w szpaler stoją,
Tak ujmują cię pod nogi,
Jak poddanki panią swoją!

W głębi lasu dąb sędziwy,
Co już dwustu lat jest bliskim,
Szumi liściem: „Dziwy! dziwy!"
Zdumion cudnem tem zjawiskiem.

Cała śpiewa ci przyroda,
Z lasu idzie szeptów krocie:
„Jaka piękna! jaka młoda!
Jak powabna w swej prostocie!"

Usiadł jakiś ptak na dębie
I zachęca: Prowadź! prowadź!
Prowadź skarb twój w lasu głębie
I tam naucz ją — całować!

Poczciwego rady ptaka
Usłuchałem ze zapałem,
Już jej była dola taka —
Całowałem! Całowałem!

Lecz się nie trwóż luba, jeśli
Wyda świat swój wyrok srogi,
Bo my szczęście-śmy znaleźli,
Gdyśmy z prostej zeszli drogi!

Fatalna omyłka druku.

Ilekroć Galicya znalazła się w niezbyt pomyślnym położeniu, wiedeński rząd centralny spieszył jej zawsze bardzo chętnie na ratunek. Ślady tej rabunkowej gospodarki są do dnia dzisiejszego widoczne!...

Drobiazgi polityczne.

Właściwym sprawcą całego owego zamieszania, którego widownią jest obecnie Europa, nie jest nikt inny, tylko ś. p. Kolumb.

Gdyby w swoim czasie nie był zupełnie niepotrzebnie odkrył Ameryki, nie byłaby się ona teraz mogła wmieszać w sprawy europejskie i kto wie, jak ukształtowałyby się stosunki.

Dzięki głównie Wilsonowi znalazła się Europa w poważnym stanie. Do łoża pacyentki wezwano znanego specyalistę, dra Clemenceau'a, który z taką młodzieńczą werwą, mimo swej siedmdziesiątki, zabrał się do pracy, iż zyskał sobie wskutek tego przydomek „starego tygrysa". Rozwiązanie miało przebieg normalny, chora ma się stosunkowo dobrze.

Niemcy ubolewają, że nie mają drugiej królowej Luizy, któraby były ich teraz w ten sposób ratowała, jak tamta Prusy w czasie wojen napoleońskich w Tylży. Głową nie pracowała, ale skutek był.

Problem *perpetuum mobile* został w wojennym czasie szczęśliwie rozwiązany. Jest niem maszyna banku austro-węgierskiego do wybijania pieniędzy papierowych.

Jakiś mechanik puścił ją w ruch i oddalił się w niewiadomym kierunku, a ona tłucze i tłucze banknoty i nikt jej nie potrafi zastanowić.

A kto to bude platit?...

Niestety, nie można tego powiedzieć o „*kwadraturze koła*". Właśnie wskutek wojny nie została ta kwestya załatwioną, choć była już bliską rozstrzygnięcia.

W Wiedniu istniało „Koło Polskie", a w jego skład wchodziło wielu kwadratowych o... osobników. Austryę dyabli wzięli, Koło się rozsypało, a „kwadratowi" usunęli się w zacisze domowego ogniska lub przenieśli do Warszawy, by tam dalej rozwijać swą owocną działalność.

Ex-cesarz austryacki, Karol, miał pierwotnie zamiar przenieść się na stały pobyt do Ameryki. Z zamiaru zrezygnował, gdy nadeszła wiadomość, iż senat wydał zakaz używania alkoholu w całych Stanach Zjednoczonych.

A cóż począłby bez „ducha", który go stale ożywiał i krzepił w zmartwieniu?...

Największym kobieciarzem był Napoleon. Ostatnie chwile życia spędził on na... Helenie.

Dla myśliwych.

Kogo polowanie kusi
Nie dość, by miał dobrą broń,
Taki pan posiadać musi
Wprawne oko, zręczną dłoń.

Gdy wejdzie w leśną gęstwinę,
Oby dobrze na cel brał,
Bo dziś łatwo o zwierzynę,
Trudniej jest o dobry strzał.

Wdowa.

(W biurze pośrednictwa małżeństw).

Tym razem proszę o męża, żeby był wytrwalszym od pierwszego.

Rysopis.

Pewien pan żali się na policyi, że w nocy w jakimś hotelu zginęła mu portmonetka z pieniądzmi.

— Jak wyglądała — pyta urzędnik.

— O! bardzo ładna! Miała jedwabną suknię i biały kapelusz z niebieskiemi wstążkami!



Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

Ani nawet nie przypuszczałem, że obiecując panu ministrowi aprowizacyi w danym wypadku mą protekcyę, odezwę się w tak nieszczęśliwą chwilę!... Już to ja mam we wszystkiem takiego paskudnego pecha, iż nie ulega wątpliwości, że, gdybym był kapelusznikiem, ludzie rodzili by się bez głów!... Jeszcze atrament na mym liście nie dobrze nie zaschnął, a tu już pana ministra niema.

I, kto wie, czy w samej rzeczy nie będzie potrzebował mej protekcyi, a ja, pamiętając o tem, że słowo się rzekło, z pewnością jej nie odmówię i przyjmę go do „Gwizdka", choćby nawet nie mógł się wykazać świadectwem z ukończonych studyów.

Razem z panem Minkiewiczem poszedł na zieloną trawę i minister rolnictwa. Kwestya obsadzenia obu foteli nie jest dotąd definitywnie załatwiona, gdyż państwo Paderewscy bawią za granicą, a do nich należy ostateczna decyzya.

To jedno jest pewne, że ja nie będę się ubiegał o żadną z tych tek, aby sobie niepotrzebnie nie przysparzać kłopotu. Aprowizacya, zamiast się poprawiać, pogarsza się z każdym dniem, a nie trzeba zapominać o tem, że rok następny, jako przestępny, będzie o jeden dzień dłuższy. Tego roku odczuwamy różne braki, cóż dopiero będzie w przyszłym. Nie mam bynajmniej ochoty pchać zdrową głowę pod ewangelię i wolę sobie, jako dyrektor „Gwizdka", swobodnie gwizdać na wszystko, zamiast suszyć sobie nad tem głowę, co Wam dać jeść.

Tem bardziej nie myślę też sięgać po portfel rolnictwa. Reforma agrarna niejednemu jeszcze ministrowi wylezie bokiem, a ja mam już dość, że mi wyłażą łokcie przez rękawy. Pan minister zdrowia twierdzi wprawdzie, że taka wentylacya jest bardzo zdrowa, ale ja wolałbym przyświecać narodowi nie dziurami, lecz czem innem.

Mam nadzieję, że, jako stojącemu blisko wielkiego ołtarza, dostanie mi się na zimę bodaj jaka marynarka z darów amerykańskich, o ile ich naturalnie w drodze nie rozkradną.

Choć więc ja nie kandyduję, niema obawy, aby oba fotele zbyt długo były opróżnione. Warszawska sztuczna wylęgarnia różnego rodzaju dostojników. pomimo chwilowej nieobecności głównej kierowniczki, funkcyonuje zupełnie poprawnie, zanim więc list mój przeczytacie. kto wie, czy już oba fotele nie będą obsadzone.

Na razie wziął aprowizacyę w swe ręce wiceminister, pan Sobański i on też zabierał głos w sprawie wyżywienia ludności. Z jego przemówienia dowiedzieliśmy się, że nie jest dobrze, ale nie jest znowu tak źle, gdyż mogłoby być jeszcze gorzej. Kazał nam być dobrej myśli, bo Rząd o naszych żołądkach nie zapomina i weźmie się do agraryuszy tak ostro, jak on to umie i jak tego dał już liczne dowody.

Kto zajmuje się na razie rolnictwem, to mnie nic nie obchodzi. Interesowałoby mnie to, gdybym mógł mieć nadzieję, że przy wprowadzeniu w życie reformy agrarnej coś się i dla mnie okroi, niestety, musiałem z tego zrezygnować. Ludowcy podzielili już między siebie całą Polskę, tak, że nie zostało nic, nawet dla służby folwarcznej, która się upomina o swe prawa i powiada, że nie cofnie się przed żadną walką, byle tylko w kraju zapanował raz już ład i porządek.

W „Gwizdku" urzęduje mi się bardzo dobrze. Mam tyle do roboty, że niejeden radca w krakowskim magistracie, a może nawet jeszcze więcej.

Codziennie rano przychodzę do biura o jedenastej, zamiast o dziewiątej, bo przecież nie wypada, aby przełożony był pierwszy. Zapalam papierosa, biorę klucz i gazetę i idę tam, dokąd rano każdy się udać powinien, o ile sprawy wewnętrzne są w porządku. Powróciwszy, zapalam drugiego papierosa i dzwonię na woźnego, aby się dowiedzieć, co tam słychać nowego. Ponieważ zaś zwykle nic nowego niema, wyglądam przez okno lub czytam gazetę, a potem wychodzę, zostawiając naturalnie parasol lub laskę, a czasem nawet i zarzutkę.

Gdy przypadkiem w czasie mej nieobecności nadejdzie jaka „strona" i zapyta o pana dyrektora, woźny z powagą otwiera drzwi, pokazuje na kołek i powiada:

— Wisi!

— Ale to parasol — zwraca przybyły uwagę — a ja pytam, czy mógłbym mówić z panem dyrektorem!

— Ja też pokazuję, że wisi!... To dowód, że pan dyrektor jest, a właściwie go niema, gdyż wyszedł w ważnej sprawie urzędowej!

— Kiedyż wróci?

— Tego nie wiem!... Zapewne przed półściem na obiad po parasol. Ale i to nie jest pewne... Chyba, gdyby się na deszcz zanosiło...

Mam także, rzecz oczywista i sekretarkę, która pisze na maszynie... listy do swojego narzeczonego, bo się właśnie kocha. Bardzo jej to chwalę, gdyż nie lubię, jeśli kto marnuje czas. Niech pisze, skoro się jej za to płaci.

Popołudnie mam zupełnie wolne od czynności urzędowych, bo chyba trudno wymagać, by człowiek przez dzień cały chodził w jarzmie, jak ten wół. Trzeba wypocząć i odetchnąć, aby mieć siły na później.

Korzystając z wolnego czasu, uczęszczam też bardzo pilnie na posiedzenia sejmowe i słucham, co mówią. Gdy człek zostanie ministrem, będzie to miał jak znalazł. Wtedy dopiero uczyć się, byłoby zapóźno. Mowa ministra Wojciechowskiego bardzo mi się podobała. Jeszcze ładniejsza była Bilińskiego, zwłaszcza, że powiedział, że sytuacya nie jest beznadziejna i, jeśli się stosunki poprawią, będzie lepiej. Kiedy to jednak ma nastąpić, dowiemy się dopiero później, więc też i ja Wam wtedy o tem napiszę. Czy zaś będą złote polskie, czy marki, czy lechy, o to mnie głowa nie boli. Grunt, aby były, a o to ma się postarać pan Biliński, bo go w tym celu do Warszawy sprowadzono.

Na ogół jestem z pobytu w Warszawie zupełnie zadowolony. I kuchnia tutejsza i powietrze zupełnie mi służy. Warszawianki są wcale niczego, a umieją takie „robić oko", że się człowiekowi mimowoli przypominają młode lata.

Patrząc na nie, wzdycham tylko, bo nic więcej już nie mogę i nie dziwię się poecie, który swojego czasu śpiewał:

„I prosiłbym, aby kiedyś,
Gdy opuszczę życia szranki,
Sanctus Petrus dał mi miejsce
Obok jakiej Warszawianki..."

Ale zaraz przychodzi refleksya... A nużby dał?... Lepiej więc o tem nie myśleć, gdyż kompromitacya gotowa!...

„Bo minęły dni wiośniane
I przekwitły ciała wdzięki...
Wszystkie członki są już twarde.
Tylko jeden jest..."

...ale dajmy temu spokój. Widzę, że jestem jakoś bardzo poetycznie nastrojony, wobec czego, kto wie, czy nie pójdę w ślady d'Annunzia i nie urządzę wyprawy, celem odbicia Gdańska Szwabom. Nie dała koalicya Rjeki Włochom, zabrał ją pan Gabryel, a choć mnie na imię Hermogenes, zrobię z Gdańskiem to samo.

Ale o tem już w następnym liście, gdyż spieszę się na randkę z jedną bardzo szykowną facetką... Co za kobietka, to nie macie pojęcia!... Powiadam Wam, palce waćhać, to jest, chciałem rzec, lizać!... Przy niej czuję się młodszym o jakie pięćdziesiąt siedm lat, jeśli nie więcej!...

Gdybym umiał śpiewać bodaj tak jak ś. p. Skalski, zanuciłbym z uczuciem:

„Kobietki, ach kobietki,
Kobietki, to pyszna rzecz!..."

Niestety, nie potrafię... naturalnie śpiewać!

Pa! Klapa

W strachu.

Gdy Jojne szedł do „musterunku" w czasie wojennym, daje mu ojciec radę:

— A ty nie potrzebujesz tam mówić, że my handlujemy ze śledziami, bo oni ciebie gotowi zaraz zaasenterować do łodzi podwodnych...

Jeden błąd.

Porównania wszystkie słabną
Gdy na oczy ujrzysz własnę
Tą twarzyczkę jej powabną,
Cudne oczy, włosy jasnę!

Krótko mówiąc — istna wróżka,
To wyśnionych marzeń cudo,
Co za rączka, co za nóżka,
Co za łydka, co za udo!

Jedno zastanawia trocha
W wielbicieli licznych tłumię,
Że wybornie wprawdzie kochą,
Ale wierną być — nie umię!

W strachu.

Pan dziedzic, mąż bardzo wymagającej połowicy, nie mogący jej też nigdy zadowolnić, wybrał się po południu, nie mając nic lepszego do roboty, na folwark.

Tu natrafił na scenę, jak namiętny byk zalecał się do spokojnej krówki. Tego rodzaju sielanki dotąd nie widział, więc stanął i przygląda się z ciekawością. Ale najbardziej zainteresowała go okoliczność, że parobek narwał spory pęk pokrzyw i nuże byka siec niemi w okolicę podogonia...

Nie wiedząc co to ma znaczyć, woła parobka i pyta o powód.

A ten mu na to:

— To, proszę jaśnie pana, dlatego, aby nabrał większej ochoty do kochania!...

Dziedzic oglądnął się z trwogą dokoła i rzecze:

— Bój się Boga!... Tylko aby się jaśnie pani o tem nie dowiedziała, bo miałbym się dopiero z pyszna!... Kto zresztą może wiedzieć czy i to zdałoby się na co!...

I westchnął gorąco, spojrzał na byka ze współczuciem i odszedł do pałacu.

Do panny Frani.

Dzieweczko, moja gdy na cię patrzę,
Wciąż nieodstępna trapi mię troska,
Widząc jak ciągle wkładasz paluszek
Do maciupkiego twojego noska.

Dzieweczko moja daj temu pokój,
Czemu przestrogom moim nie wierzysz:
Wskutek użycia stępisz paluszek
I dziurkę w nosku zbytnio rozszerzysz.

Stefan.

Wypadek a nieszczęście.

Pan A: O przejechaniu głuchej staruszki przez tramwaj pisze jeden dziennik, że to był wypadek, a drugi, że to było nieszczęście. Nie wiem teraz, co to jest wypadek, a co nieszczęście.

Pan B: Nie wiesz? To ja ci powiem. Gdyby twoja, albo zresztą moja teściowa wpadła do Wisły, byłoby to wypadkiem, gdyby zaś ją wyratowano, byłoby to nieszczęściem.

Wydawca i wydawcy: Spółdzielnia Wyd. Łapińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia F. S. Frieslein w Krakowie, pod zarządem Pawła Sitarskiego.



— Sądzę, że nie powinna pani gardzić mem sercem!... Jest ono pełne miłości!

— Cóż mi z tego, gdy, o ile wiem, pugilares pański jest próżny!